

*Bogusław Magrel*

W 2002 roku, po mojej pierwszej podróży do Maroka, napisałem artykuł, w którym, trochę nieporadnie ale szczerze, opisałem przygody jakie nas spotkały.

Chociaż wyraźnie podkreśliłem piękno Perły Mahrebu, to jednak spadła na mnie fala krytyki od czytelników portalu *odyssey.com.*, ponieważ niepochwlebnie wyraziłem się o stosunku Marokańczyków do kobiet. Otóż po pierwsze: opisałem prawdziwą historię nie generalizując, ale potępiając „czarną owcę”, z którą zetknął nas los, po drugie: nikt nie powiedział, że podróżnikowi podczas podróży mają przytrafiać się tylko miłe przygody. Ale niektórzy czytelnicy tekstu „Maroko, czyli los kobiety” niestety tego nie dostrzegli.

Od tamtej pory odbyłem jeszcze trzy wyprawy do Maroka, podczas których zwiedzałem zachłannie i niestrudzenie wszystkie jego piękne zakątki.

Szczególnie pamiętam rajd, jaki odbyłem w Grześkiem Piwko. Wszystko zaczęło się w Casablance. Stojąc na hotelowym balkonie, Grzesiek podziwiał miasto rozświetlone tysiącem latarni. W powietrzu unosił się zapach morskiej piany, a nam marzyły się szczyty Atlasu Wysokiego. „Tak, Humpfrey Bogard nie mógł się mylić”. Kolacja ze świeżych owoców i kielich polskiej żołądkowej gorzkiej przeciw zatruciom. Dziś Casablance to nowoczesne miasto, wielkie arterie, auta, ludzie modnie ubrani, zdaje się, że jesteśmy na francuskiej riwierze a nie w kraju rządzonym przez islamskiego monarchę. Tu nawet kobiety noszą odważne stroje. Przechodząc obok jednej ze szkół wyższych i podziwiając urodę miejscowych studentek, Grzesiu spuentował: Ech, chciałbym studiować w Casablance...

Chyba najważniejszą budowlą aglomeracji jest meczet Hassana II, druga co do wielkości sakralna budowla świata islamskiego. Meczet ukończono zaledwie 15 lat temu, monumentalna budowla stoi nad brzegiem oceanu, dlatego warto zwiedzać go tuż przed zachodem słońca. Misterne mozaiki, kolumnada, łukowe sklepienia, to wszystko robi spore wrażenie. Nam równie mocno podobały się dwa kościoły katolickie, znacznie starsze, położone w palmowym ogrodzie, niestety zamknięte na cztery spusty. Z Casablanki jedziemy autobusem do Marrakeshu i dalej taksówką do Imlil. Odwiedzamy zaprzyjaźnioną rodzinę, w domu której kiedyś nocowałem. Pijemy Berber tee, czyli świeżą miętę z dużą ilością cukru. Herbata, choć podawana na gorąco, w tym klimacie orzeźwia i dobrze smakuje, oczywiście jeśli ktoś lubi miętę. Po wizycie podjeżdżamy ciężarówką do Asni i dalej już pieszo kierujemy się dnem doliny Mizan do schroniska pod Jebel Tubkałem.

Atlas Wysoki to najwyższe pasmo górskie Afryki Północnej, jego szczyty przekraczają cztery tysiące metrów. Latem słońce pali tu niemiłosiernie i nawet doliny mają surowy klimat, ponieważ roślinność utrzymuje się tylko tam, gdzie występuje woda. Reszta to skały o wszystkich odcieniach

czerwieni i brązu. To też stanowi o niepowtarzalnym uroku Atlasu. Dlatego my wybraliśmy się tam wczesną wiosną, kiedy jeszcze zalega śnieg. Dzięki niemu góry są bardziej malownicze, pełne kontrastów, a temperatury niższe, co nam Europejczykom pozwala na komfortowy marsz. Idąc doliną w górę przechodzimy obok sanktuarium, celu muzułmańskich pielgrzymów. W małych straganach można kupić napoje, z wszechobecną coca colą włącznie. Po krótkim odpoczynku ruszamy w dalszą drogę. Na tej części szlaku można spotkać już tylko turystów. Otwierają się widoki na Górne i Dolne Ikhibi, wiszące „U”- kształtne doliny, prowadzące na szczyt. Otaczające nas góry są mocno zaśnieżone, to efekt krótkiej ale za to intensywnej burzy śnieżnej, jaka nawiedziła ten rejon ostatniej nocy. Wreszcie osiągamy wysokość 3200 metrów, dochodzimy do schroniska. Trochę zaniedbany murowany budynek, jest własnością Francuskiego Klubu Alpejskiego. Po nocy spędzonej na pryczach ruszamy dziarsko w górę. Nocny przymrozek częściowo zmroził śnieg, jednak nie wszędzie, dlatego musimy sporo torować. Mozolnie, lecz skutecznie zdobywamy wysokość, wreszcie dochodzimy na przełęcz, łapiemy pierwsze promienie wschodzącego słońca, robi nam się cieplej i przyjemniej. Szczyt jest już w zasięgu naszego wzroku, można rzec: Mamy go w garści. Ostatnie kroki w głębokim śniegu i jesteśmy przy triangule szczytowym, całkowicie pokrytym szrenią, wysokość 4167 metrów. Widok piękny, po burzy powietrze jest przejrzyste, więc widać na wiele kilometrów. Ośnieżone szczyty i granie skąpane w słońcu, a w dole kłębiące się chmury. Robimy pamiątkowe zdjęcia i zmykamy, bo chcemy jeszcze dziś zejść w doliny. Nocleg wypada nam w berberyjskiej chacie. Na kolację jemy tadżin i zgodne z miejscowym zwyczajem zasypiamy na podłodze.

Teraz przychodzi kolej na Marrakesh. Zajmujemy pokój w hoteliku, tuż przy głównym placu starego miasta. Plac nosi nazwę El Fanna. Za dnia nie robi dużego wrażenia, ale za to nocą, gdy zapełni się straganami i przenośnymi restauracjami, gdy zapłoną grille a zapachy smażonego mięsa wypełnią powietrze, wtedy dopiero można poczuć klimat tego miejsca. My na dachu naszego hotelu, popijając cudem zdobyte piwo, wsłuchiwalismy się w dźwięki bębnów i piszczałek, chłonąc całym ciałem tajemnicze wibracje powietrza. Z czerwonego miasta ruszamy przez Warzazat do Tinerhir, podróż to długa i nieco uciążliwa. Trasa z dużej części wiedzie przez góry a wielu Marokańczyków kiepsko znosi jazdę autobusem, co kończy się u nich często wymiotami. Z Tinerhir jedziemy do Thodry, wąwozu o 300-metrowych ścianach, które o wschodzie słońca dosłownie płoną czerwienią i żółcią. Miejscowa skała jest niezwykle ostra, podobna do pumeksu, daje wspaniałe warunki do wspinaczki skalnej. W wąwozie jest mnóstwo dróg wspinaczkowych, o różnych stopniach trudności. Wśród wspinaczy Thodra jest popularnym miejscem w grudniu i styczniu, kiedy w Europie panuje zima. My również trochę się wspinamy, pokonując szóstkowe drogi. Po trzech dniach wspinu przychodzi pora by ruszać dalej, jedziemy do Tafilaltu, regionu słynącego z produkcji daktyli. Co ciekawe, jest to region zamieszkały przez ciemnoskórą ludność. Z ostatniego miasteczka jedziemy autem terenowym na pustynię, pod erg Hebbi, jedyny ruchomy erg położony w marokańskiej części Sahary.

Wychodzimy na szczyt ergu ze sprzętem biwakowym, chcemy tu spędzić niezapomnianą noc pod rozgwieżdżonym niebem i zobaczyć oczywiście zachód słońca. Jest to spektakl godny bogów, słońce oświetlające cały płaskowyż aż po Atlas Wysoki, mieniające się tysiącem barw na pustynnym piasku. Siedzimy zauroczeni, tę wspaniałą chwilę zakłócają jedynie zwalniane raz po raz migawki aparatów. Kolejnego dnia rano schodzimy z ergu i chcąc wrócić mamy scysję z miejscowymi przewoźnikami, którzy usiłują nas szantażować, chcąc wyłudzić większą zapłatę. Jednak wszystko się dobrze kończy i nie przepłacając ruszamy w drogę powrotną. Nocnym autobusem jedziemy aż do Tazy, miasta leżącego między Atlasem Wysokim a górami Rif, na ważnym, międzynarodowym szlaku, łączącym Maroko z Algierią. Z Tazy planujemy się wybrać do Grouffe Fruacio, największej jaskini Afryki Północnej. Jaskinia położona jest w Atlasie Średnim, dzięki czemu możemy podziwiać inną część tego potężnego łańcucha górskiego. Faktycznie, potężny awen pieczary, niczym z filmów o poszukiwaczach skarbów, oraz kilkukilometrowy system korytarzy, zapewniają niezapomniane przeżycia. Przydają się nasze czołówki, bo w jaskini nie ma sztucznego oświetlenia.

Jeszcze tego samego dnia jedziemy do Fezu, jednego z czterech królewskich miast. Fez, podobnie jak Marrakesh, ma swój niezapomniany klimat. W mieście dominuje kolor zielony, barwa islamu, jest tu tak dużo zabytków, że nie sposób zwiedzić wszystkich. Dla samej medyny, najbardziej skomplikowanej mili kwadratowej świata, warto tam pojechać. Suki, farbiarnie skór, sklepy z dywanami, jednym słowem wszystko, co tworzy mit Mahrebu. No i jest ponad 300 meczetów, więc jakkolwiek hotel by się nie wybrało, to zawsze jest on bliżej lub dalej od meczetu, więc o 4 rano muezin obudzi nas nawoływaniem na poranną modlitwę. W Fezie przeżyliśmy z Grzesiem kryzys, otóż skończyły się nam „polskie środki do dezynfekcji”, no i nawet piwka nie mogliśmy sobie kupić, bo trwał ramadan i mimo, że w Fezie jest kilka sklepów z trunkami wyskokowymi, to podczas ramadanu są one zamknięte.

Kolejnym królewskim miastem na naszej trasie był Meknes, jego mury obronne są równie imponujące jak Fezu. Z Meknes jedziemy jeszcze na małą wycieczkę do Volubilis, najlepiej zachowanych porzymskich ruin w Afryce. Kiedyś było to kwitnące miasto położone na rubieżach Imperium Romanum. Około V w. n.e. zostało opuszczone przez mieszkańców, przypuszczalnie powodem było trzęsienie ziemi. Ruiny jednak są wspaniałe i godne polecenia każdemu turyście. Na zakończenie naszej podróży odwiedzamy jeszcze raz wybrzeże, tym razem żeby wykapać się w oceanie i odpocząć po trudach dwutygodniowego maratonu. Przez te 14 dni pokonaliśmy 2500 kilometrów, więc chwila oddechu na plaży była zasłużona.

Maroko jest krajem, po którym łatwo się podróżuje, posiada dobry system połączeń autobusowych, ludzie są mili i raczej nie naciągają turystów. Wyjątkiem są może takie miasta jak Agadir, gdzie na plaży można spotkać nieco natrętnych quasi masażystów, sprzedawców ręczników, mat i wszelkiego innego dobra. Kraj jest stosunkowo bezpieczny a różnice kulturowe nie są przeszkodą utrudniającą zwiedzanie. Oczywiście trzeba

przestrzegać pewnych zasad, np. w kwestii ubioru, trzeba też pamiętać, że swoboda panująca w wielkich aglomeracjach praktycznie nie istnieje na wsi, na której wpływ religii jest znacznie bardziej widoczny. Maroko ma w sobie coś z bajki, jest jak zagadka, której rozwiązania podróżnik poszukuje za każdym nadchodzącym zakrętem.